

Drapieżcy

Drapieżcy

Rozdział III lipiec

(kontynuacja powieści z poprzednich numerów DŻ)

Wilkowi wydawało się, że na dobre utracił wydrę z pola widzenia. Wodził wzrokiem po szarej i gładkiej powierzchni wody z coraz mniejszą nadzieją. Odkąd zanurkowała minęło sporo czasu. Wreszcie dostrzegł ruch nieco dalej, przy oczeretach. Co prawda widok częściowo osłaniały trzciny, lecz wątpliwości nie miał. Zguba się odnalazła. Pozostało cierpliwie czekać. Wydra, bezgłośnie wynurzywszy się, leżała teraz na grzbiecie, coś pożerając. Być może drobną rybę. W każdym razie jadła, na co wskazywały zdecydowane ruchy przednich łap oraz pyska. Basior bezwiednie przełknął ślinę. Już od bladego świtu czuwał w zaroślach okalających cypel. Kilkudniowe próby pozyskania wydry nic nie dały. Jeśli nie liczyć resztek po jej ucztach w postaci leszczowego ogona, czym zadowolić się nie mógł. Za to przekonał się, że po wodnych wypadach na brzeg wychodzi prawie zawsze w jednym miejscu. I w tym właśnie upatrywał swoją szansę. Gdy śledzona ponownie zanurkowała ostrożnie podkradł się bliżej. Wszystko wskazywało, że nie odkryła jego obecności.

Przywarł za ułamanym konarem olszy, unosząc łeb. Obecnie dzieliły od brzegu jedynie kępy trzęślicy. Jednak nie zaryzykował dalszego podejścia. Wydra akurat zdążyła wyjść na ląd. Chwilę potem obraz przewróconej na grzbiet i tarzającej się w trawie ofiary, która nieświadoma niczego suszyła sierść, tak podniecił wilka, że nie mógł opanować drżenia napiętych mięśni. Lecz gotów do skoku zmartwił na moment. Trzasnęła pod łapą jakaś gałązka. To wystarczyło, by obudzić czujność obserwowanej. Natychmiast stanęła słupka, obracając głowę w stronę lasu. Ich spojrzenia spotkały się. Sekundę lub dwie oboje trwali bez ruchu. Pierwsza skoczyła wydra. Ostro ruszył też basior. Wynik gonitwy był przesądzony z góry - umykającej wystarczyło zsuniecie się z brzegu. Ścigający natomiast musiał pokonać kilka metrów do samej linii wody. Ale, pojmując daremność wysiłku, gonitwy nie przerwał. Dopiero toń jeziora ostudziła zapalę. Wprawdzie pływał całkiem dobrze, jednak z ich dwojga nurkować potrafiła tylko uciekinierka. Jak niepyszny wrócił na ląd i otrząsnął sierść z wody.

Hałas pogoni rozbudził śpiące w oczeretach kaczki. Ożywiły się też zasiedlające nadjeziorny skraj lasu zięby i strzyżyki. A wkrótce o polującym drapieżniku wiedzieli w okolicy wszyscy. Ostrzegawcze nawoływania zaniepokojonych ptaków niewiele wilka obeszyły. Wciąż jeszcze liczył na to, że wydrę przechytry. Przypomniawszy sobie bowiem o niegdyś wykrytej norze - między grabami porastającymi stromizną brzegu. Trochę dalej na wschód. Wówczas wydawało mu się, iż otwarta przestrzeń da lepszą szansę łowu. I z czatowania przy norze zrezygnował. Obecnie zamierzał tam wrócić. Odnalezienie interesującej dziury między korzeniami było proste. Lecz stropiły polującego dwie inne sprawy. Brak śladów zapachowych wydry wokół drzew i wyjątkowo wąski otwór wejściowy. Z trudem wsuwał tam czubek nosa. Bijąca z wnętrza woń rozwiewała wątpliwości. Prawidłowo zlokalizował kryjówkę poszukiwanej. Lecz jak wejście sforsować? Gdyż ponawiane próby rozgrzebywania otworu spełzały na niczym. Po odrzuceniu cienkiej warstwy darni pazury trafiały na płataninę korzeni. Cofał się, okrążał drzewa i wracał wielokrotnie, z rosnącą bezradnością obwąchując podstawę grabu. Nie mógł pojąć, że to co brał za otwór było jedynie kominem wentylacyjnym. Zaś samo wejście do nory kryła od brzegu woda. Wreszcie - niechętnie, bo niechętnie - dał za wygraną. Znacznie lepiej powiodło się jastrzębiowi, który właśnie przemykał na tle sosen z pochwyconym drozdem w szponach. Odprowadziwszy skrzydlatego łowcę wzrokiem począł wietrzyć. Dotąd znieruchomiałe powietrze ożywiła lekka bryza. Jej powiew przyniósł obietnicę: woń sarny. Nikłą, ledwo

rozpoznawalną. Energiczniej ruszył w tę stronę. Zwodniczy zapach to ginał, to pojawiał się, by zniknąć ostatecznie kilkadziesiąt metrów i dalej. Zniechęcony basior zaprzestał kluczenia. Zarośla obok drgnęły. Dostrzegł kątem oka żółtawe futerko badylarki i niemal w tym samym momencie ją zgubił. Jakby rozplynęła się w gąszczu. Powoli zniżył pysk między kępy. I to miniaturowego gryzonia wypłoszyło. Dłuższą chwilę trwając nieruchomo pośród żdźbeł traw, teraz – bezpośrednio zagrożony – błyskawicznie zerwał się z miejsca. Wilcze siekacze chybiły celu. Nie skoczył za drobiazgiem. Zadowolili się młodymi badylarki, wygarniając z kotnika cały, ledwo wyrosnięty miot. By wkrótce poprawić mizerną przekąską żabą, która wyprysnęła mu spod łap.

Słońce wstawało coraz wyżej. Zapowiadał się ciepły dzień. Samotnik ponownie zszedł nad jezioro, tym razem ugasić pragnienie. Wyczerpała go całonocna włóczęga – męcząca i usiana niepowodzeniami. Choć kilka okazji się nadarzyło. Niestety, straconych. Uszły między innymi dwa karczowniki i lasica. Pomijając sporadycznie pozyskane najdrobniejsze kaski upolował jedynie pisklęta drugiego lęgu bekasa kszyka.

Opuściwszy przyjeziorną strefę ruszył truchtem w głąb lasu. Zielone runo miękko oddawało rytmiczny krok. Nieco dalej rozciągały się łągi, a za nimi wzniesienia ocienione starodrzewem. Tu zwolnił, wypatrując dogodnego łęgowiska. I wkrótce znalazł. Między widłakami, przed polem kwitnącej borówki brusznicy. Mimo głodu usnął natychmiast. Pierwsze godziny spał twardo, jedynie od czasu do czasu zmieniając położenie ciała. Dopiero później, gdy słońce na bezchmurnym niebie minęło zenit, począł się ruszać. Trochę w jedną, trochę w drugą stronę. Głównie w poszukiwaniu chłodniejszego miejsca. I drzemał tak z krótkimi przerwami niemal do wieczora. Śnił sporo, zwłaszcza po południu. A marzenia senne, spomagane powracającym burczeniem brzucha, obracały się wokół wspomnień najprzyjemniej szych. Widział powalonego w drągowinie szpicaka i potrzęsający scypulem łeb jelenia, któremu jeszcze w agonii wyszarpywano parujące wnętrzności. Znów przeżywał zimową pogoń za daniem i udane osaczenie ofiary w oparzelisku. Łód, krew, zziębnięta wataha, pospiesznie lykane kęsy – wszystko to razem, przynajmniej we śnie, niesło błogą sytość. Płytką już drzemkę u schyłku dnia rozwiła znajoma woń. Identyczna z poranną, lecz intensywniejsza. Wilk stężał wyprostowany, uważnie wietrząc. Wątpliwości prysnęły. Gdzieś niedaleko błąkała się sarna. Być może nawet za pobliskimi drzewami. Wróciło znajome podniecenie. Ruszył wolno pod prąd nikłego powiewu. Dotychczasową osłonę paproci zastąpiły żółte kiście jałowca i wiechy traw. Nieco dalej, wśród brzoź, udało się wilkowi złapać trop. Świeży i tym bardziej obiecujący, że miejscami upstrzony zapachem krwi. Natychmiast wzmógł czujność. Pomyślniejsze okoliczności zdarzały się rzadko. Tropiona musiała być ranna. I dzięki temu przypuszczalnie łatwiejsza do upolowania. Zapachowa ścieżka wiodła zygzakiem ku zachodowi. Stąpał nią coraz wolniej, uważnie też nasłuchując. Nie chciał zdradzić swej obecności przed czasem. A udany podchód zwiększał szansę późniejszego dogonienia ofiary. Sarna zalegała w dużych kępach kostrzewy. Wyczuł to instynktownie, stojąc od paru chwil między lipami. Wyczuł, a wkrótce i dostrzegł, gdy obróciła łeb: spuchnięty i opleciony drucianą pętlą w poprzek niewidzących obecnie oczu. Co nie przeszkodziło jej w zwietrzeniu drapieźnika. Paniczne drgnięcie rannej wyzwoliło w basiorze impuls ataku. I nim osłabiona ofiara poderwała się na wszystkie nogi, dopadł ją trzema susami, pewnie chwytając z boku za gardło.

Basior, stojąc na cyplu, przyglądał się bielikowi dłuższy czas. Widział jego energiczną pogoń za rybolowem niosącym karasia. Uciekający zgubił zdobycz obok zatoki. Obaj lecieli nisko, odgrodzeni trzciniami wschodniej części jeziora, przez co wkrótce stracił ich z oczu. I już chciał zawrócić, gdy birkut pojawił się znów. Tym razem samotnie. Wydawało się, że chce podjąć upuszczoną rybę, której hałaśliwe przewrotki dostrzegalne były i z brzegu. Jednak karaś w pewnym momencie zniknął pod wodą. Nie zrażony tym bielik wznosił się wyżej, okrążając ów rejon, by po kilku sekundach uderzyć w jezioro wysuniętymi do przodu szponami. Chwilę tak trwał zanurzony po piersi. Jego skrzydła pracowały coraz mocniej i mocniej, aż w końcu dźwignął się, ukazując wilczym oczom okazałego

szczupaka. Upolowana ryba ważyła niewiele mniej od łowcy. Orzeł z widowym trudem włókł żywą jeszcze zdobycz. Szczupak, przytrzymywany pazurami za grzbiet, potrząsał pyskiem, zaś jego wierzgający ogon co rusz wzbijał nowe strugi wody.

Widok skręcającego w głąb zatoki bielika napełnił obserwatora przejściową nadzieją. Liczył na to, że obciążony ptak zechce wylądować przed lasem. Wówczas istniałaby szansa odbicia zdobyczy. Lecz stało się inaczej. Birkut, nabrawszy prędkości, wzleciał wysoko, by ostatecznie zniknąć za linią drzew. Rozczarowany basior opuścił cypel. Nic go tu już teraz nie trzymało. Napił się, napatrzył i pora była wracać tam, gdzie w spokoju mógł odpoczywać dalej. Letni dzień nie sprzyjał łowom. Zwłaszcza rosnące upały. W lesie panowała cisza. I znacznie przyjemniejszy chłód. Nie spieszył się, węsząc po drodze. Okolicę jeziora odwiedzało sporo zwierzyny. Teraz też znalazł tropy kilku potencjalnych ofiar. Między innymi junata i tchórza. Krzyżowały się ze sobą, rozchodząc w różnych kierunkach. Niestety, tropy zwietrzałe, przytłumione zapachami leśnych myszy. Gdzieś w pobliżu kręcił się także jaźwiec. Ożywienie wilka wzrosło jeszcze, gdy trafił na świeży trop z rozrzuconymi resztkami gniazda ziemnych os. O tym, że kopacz dopiero co tu był, świadczyły nie dojezione plastry i wisząca w powietrzu charakterystyczna woń. Natychmiast ruszył wyczuwalnym tropem. Cóż, nowa nadzieja zgasła szybko. Jaźwiec, wcześniej odkrywszy zagrożenie, umknął do nory. A jej wejście, wąskie i zarośnięte dzikim bzem, sforsować się nie dawało. Dwakroć próbował swego czasu. Teraz nie wsunął tam nawet nosa. Opuściwszy w końcu przyjeziorną strefę posznurował dalej. Zapoluje wieczorem. Z góry opadały drobne skrzydlate orzeszki dojrzewających brzoź. Za brzoźami pojaśniało. W prześwietlonych miejscach nad kosmatymi pędami szaroty i kwitnącym dziurawcem roiły się motyle. Lubił tu odpoczywać. Lecz wiosną, gdy kości łaknęły słońca. Obecnie pragnął tylko głębokiego cienia i chłodu. Wkrótce nozdrza wypełniła wilgotna żywiczna woń. Był już w sosnowym borze, nieco dalej przechodzącym w las liściasty. I właśnie tam spocznie na resztę dnia. Osłonięty gęstymi koronami drzew. W ostępie mrocznym i nie tak ciepłym w porównaniu z innymi rejonami lasu.

Nie zdążył zareagować. Spod nóg zerwała się spłoszona słonka. Odprowadził ją wzrokiem i minąwszy zarośniętą malinami granicę boru wbiegł między dęby. Od razu pochłodziło. Zwolnił, wreszcie przystanął. Dosyć szwendania. Lepszego miejsca w okolicy chyba nie znajdzie. W każdym razie szukać nie zamierza. Obwąchał jeszcze sąsiadujące krzewy i rozgrzebawszy podszyt z lubością legł na gołej ziemi. Jedynie komary od czasu do czasu przerywały drzemkę. Kładł wtedy łeb bezpośrednio na poszyciu i zakrywał wrażliwy nos łapą. Śnił niewiele. Dopiero u schyłku dnia jedna z wizji skonkretyzowała się, wsparta nowym zapachem. Opodał przeszedł dzik. Woń jego była słabo wyczuwalna, lecz wystarczająca do wychwycenia przez wilcze nozdrza. Basior ujrzał dzika w rojstach. Migawkowe wspomnienie tyczyło wczesnych, ale pamiętnych, lat młodości. Gdy przed huczką rozsierdzony odyniec przeorał mu szablami bark. Przykry obraz rozbudził wilka. I choć nikła woń dzikiej świni nadal smużyła się w powietrzu, nie ruszył jej śladem. Próba samodzielnego pozyskania dzika mogła okazać się zbyt niebezpieczna. Musi rozejrzeć się za ofiarami pewniejszymi. I na miarę jego obecnych sił. Basior przeciągnął się i posznurował rutynową trasą. Biegła ona aż do torfowisk na północy, potem wzdłuż krawędzi lasu na wschód, by później skręcić w stronę jeziora – niecałą godzinę truchtem. Nad wodą zawracał ku zachodowi, przez pobrzeża zatoki i rejon dawnego stawu. W sumie od wieczora do rana patrolował duży obszar, rzadko zbaczając z ustalonych ścieżek. Niedaleko torfowiska drzewa przerzedzały się. Wilk zwolnił, podskoczył i wylądował na przednich łapach z nosem przy ziemi. Niewiele brakowało, by leśna mysz uwięzła w jego siekaczach. Lecz chybił, jak prawie zawsze podczas prób chwytania gryzoni.

Zamarł na moment z wyprostowaną głową, obracając jedynie uszami. Ciche popiskiwanie, szmery i chrzęsty docierały zewsząd. Nie widział myszy, za to słyszał i czuł je doskonale. Także obecność tumaka nie uszła uwadze. Ale ten podejść się nie da. Chyba że przez zaskoczenie. Co z kolei uniemożliwiałoby suche i trzeszczące na każdym kroku podłoże. W prześwitach drzew na tle

rozwieżdzonego nieba bezszelestnie przemknął puszczyk. Stary łowca potrząsnął głową i ruszył dalej. Wschodni kierunek truchtu przecięły świeże tropy dzików, jelenia oraz lisa. Sznurując za tym ostatnim dotarł w pobliże łąk. Po drodze, w jednym z mokrych dołków, trafiło się kilka żab. Połknął małe kęski bez rozgryzania. Wtem czujność jego się wzmogła. Niemal wpadł na truchło kury. A właściwie kurczaka. I co dziwne, prawie pozbawionego piór. Nieufnie obwąchał znalezisko, wyławiając nikłą woń człowieka. Padlina była świeża i gdyby nie ów odstręczający zapach, byłby zmiotł ją natychmiast. Możliwe, że łup zawdzięczał lisowi. Wszak zdarzało się wcześniej napotykać szczątki drobiu w tym rejonie. Lisy przynosiły zdobycz od strony ludzkich zabudowań, tu właśnie uczując. Jednak nie zaszkodzi sprawdzić okolicy. Pomyszkował trochę w pobliżu i nie trafiwszy na nic podejrzanego, prócz krzyżujących się lisich tropów, wrócił do padliny. Pochłonięcie jej zabrało niewiele czasu. Wprawdzie przy ostatnich kęsach poczuł coś gorzkiego, ale nie przejął się tym. Kryjówkę, w której swego czasu złożył nie dojezoną resztę upolowanej sarny, wielokrotnie przeszperały już inne zwierzęta. Zwłaszcza lisy i ptaki. Pozostało tylko kilka rozwłóczonych kości. Jednak zajrzał tam, będąc niedaleko. Cóż, obecnie zniknęły nawet fragmenty kręgosłupa. Nie ostała się ani kosteczka do przeżucia. I właśnie zamierzał skrócić w stronę jeziora, gdy coraz mocniej dokuczające burczenie brzucha raptem przemieniło się w ból. Aż przysiadł z wrażeń. Owszem, w przeszłości zdarzały się dolegliwości żołądkowe. Choćby po spożyciu zepsutego mięsa. Ale nigdy równie ostre. Zdezorientowany nagłym cierpieniem ruszył bez zwłoki w głąb lasu. Szarpący trzewiami ból rósł, a każdy krok powoli przemieniał się w mękę. Szczęściem znalazł to, czego w podobnych okolicznościach zwykle szukał. Czyli pokrzywy. Pożerał ją bez opamiętania i szybko. Wreszcie nadeszły oczekiwane torsje i razem z pokrzywami wyrzucił z siebie całą treść żołądka.

Jeszcze wiele razy wymiotował. Nawet wówczas, gdy nie było czym. Powracające torsje dokładnie wypróżniły żołądek, który protestował również przeciw wypijanej wodzie. Zwracana razem z jakąś śmierdzącą cieczą długo utrzymywała w pysku niesmak. Torsjom towarzyszyły zawroty głowy. Później dołączyło drętwienie nóg. Pokładał się, tracąc kontrolę nad ciałem. Nigdy przedtem podobnych cierpień nie doświadczył.

Ale to już należało do przeszłości. Blisko tydzień trwające dolegliwości ustąpiły. Wprawdzie nadal czuł się osłabiony, lecz przynajmniej odzyskał jaką taką sprawność. Zaś wyostrzone długim postem zmysły rejestrowały każdy sygnał dający choćby cień szansy na udany łów. Niebawem podniecenie jego wzrosło. Zwiertzył coś, czym mógł zaspokoić głód nie jeden raz. Upalny dzień chylił się ku końcowi, zmierzchało. Rozproszone nad wilgotnymi łęgami komary usiłowały nadążyć za sznurującym wilkiem. Basior przeciął mokradła nie zmieniając tempa. Utrzymująca się w powietrzu woń jelenia obiecująco drażniła powonienie. Przełknął ślinę i zwolnił na suchym gruncie. Wyraźniejszy zapach nie pozostawiał wątpliwości. Ofiara była tuż tuż. I w dodatku nie przeczuwająca niebezpieczeństwa, skoro udało się podejść tak blisko. Ścigającemu sprzyjał również przeciwny wiatr. Teraz wilk stąpał ostrożnie, chcąc uniknąć wypłoszenia rogacza przed czasem. Jeleń zorientował się w sytuacji dopiero wtedy, gdy dzieliły ich od siebie ledwie trzy drzewa. Ruszyli jednocześnie. Prysnęło rwane łapami i kopytami poszycie. Potężne susy basiora skróciły dystans w kilka sekund. Skoczył. atakowanemu na bark, licząc na wytrącenie ofiary z równowagi. Cóż, manewr nie powiódł się. Sam stracił równowagę, źle obliczywszy uderzenie. Nie dość, że spadł na grzbiet, to jeszcze oberwał kopytem w żebra. Przesadził z możliwościami i rojeniem o wielkiej zdobyczy. Zdrowy jeleń nie mógł samotnikowi ulec. Napaść graniczyła z bezsenssem. Jedyne głód usprawiedliwiał w jakimś stopniu podobną desperację. Gwałtowny pościg nadwątlił jego i tak mizerne siły. Stłuczone żebra utrudniały oddech. Szczęściem żadne nie było złamane. Basior dyszał ciężko, potrząsając głową. A jednak, pośrednio, gonitwa za jeleniem przyniosła niespodziewany zysk: młodego borsuka, któremu uciekający rogacz rozdeptał grzbiet oraz tylne łapy. Odkrycie przypadkowej ofiary zaskoczyło wilka. Zaskoczyło i usatysfakcjonowało. Zlokalizował ją węchem, wracając w stronę jeziora. Jeszcze tliły się w borsuku resztki życia. Basior, nie zważając na to, rozpoczął parcelację zdobyczy od brzucha. Uporawszy się z wnętrznościami zachłannie rozszarpał resztę. Trzaskały

zgryzane i miażdżone kości. Wkrótce po młodocianej ofierze nie został nawet ślad – jeśli pominąć wsiąklą w ziemię krew. Oblizwał się i obwąchał najbliższy teren, jakby nie dowierzając, że zjadł już wszystko. Wprawdzie przyjemny ciężar w żołądku działał kojąco, ale nie miałby nic przeciw następnej porcji. Gdyby tylko okazała się pojawiła.

Nieco dalej na zachód przepływał strumyk. Basior, podążając za rogaczem, zboczył z rutynowej trasy. Obecnie, męczony pragnieniem, bez trudu odnalazł wodę. Pił łapczywie i długo, z małymi przerwami. Potem wszedł do strumienia cały. Płytki ciek uniemożliwiał kąpiel, lecz mógł przynieść choćby chwilową ulgę stłuczonym żebrom. Orzeźwiony i nasycony przeniósł się na pobliskie wzgórze. W prześwitach drzew wstawał księżyc. Jego srebrzysty owal lśnił wyzywająco. Basior przysiadł i zafascynowany blaskiem uniósł łeb. Pierwotnie uwagę odciągała kuna goniąca wiewiórkę, odprowadził też wzrokiem puszczyka z nornicą w szponach jednak z upływem czasu nie mógł już oderwać od księżyca oczu. Czuł jak coś wolno wzbiera w jego piersi. Nabrzmiące gardło opuszczały głucho, ledwie stłumione dźwięki – na i przemian przypominające to powarkiwanie, to skuczenie. I Wreszcie wyżej zadarł głowę, a wzmocniony głos przeszedł w wycie. Raz rozpoczynając nie ustawał. Jego nostalgiczne nawoływania niosło kilometrami, wyrażając i dojmującą samotność, i tęsknotę za stadem, którego brak odczuwał najbardziej. Przed północą księżyc zaciągnęły chmury. Basior otrząsnął się z przygnębiającego nastroju i ruszył niespiesznym truchtem w stronę jeziora. Mimo wszystko wylany smutek poprawił jego samopoczucie. Ostatni, w miarę obfity posiłek przytępił węch. Nie na tyle jednak, by nie wyczuć obecności lisów. Od potyczki z rogaczem wciąż krążyły w pobliżu. Te dybiące na resztki jego zdobyczy rudzielce często doprowadzały basiora do pasji. Najbezzwzględniejsze z nich potrafiły zrabować ukryte zapasy, lub – co może jeszcze gorsze – oblać je swoim cuchnącym moczem. Jak to miało miejsce choćby po upolowaniu sarny. Gdyby tylko mógł, z chęcią byłby każdego lisa rozszarpał. Ożywiony gniewem przyspieszył tempo biegu i wkrótce zgubił zniechęcony zapach. Szeleszcząca ściółka miękko oddawała kroki. Stłuczony bok ćmił dalej. Nie przejmował się tym. Teraz interesowały go wyłącznie kaczki. Akurat nastał czas ich pierzenia. Dostrzegł to przedwczoraj, lecz jeszcze trwająca słabość nie pozwoliła na wykorzystanie obserwacji. Obecny nawrót formy zwiększał szanse łowu. Okresowo nietotne ptaki stanowiły idealny cel. Nie jeden raz w przeszłości, nauczony przez matkę, korzystał z podobnych okazji. Byłe odpowiednio blisko podejść. Odpowiednio blisko i odpowiednio wcześniej – najlepiej pod osłoną nocy, rano wyciąga ptactwo z trzciny na przybrzeżne żerowiska i zawsze jakaś mniej ostrożna sztuka znajdzie się w zasięgu skoku. Wreszcie dotarł nad jezioro. Wzdłuż brzegu krzyżowało się wiele zapachowych ścieżek – nieuchwytny wydry, tchórza oraz karczowników. Zignorował je, skupiając uwagę na ostrożnym stąpaniu. Przed cyplem, okalającym zatokę od zachodu, przywarł do ziemi i znieruchomiał. Dotąd żaden wścibski ptak nie podniósł alarmu, nie pisnęła nawet mysz. Przeczłogał się dalej. Byłe do olch i wysokiej trawy. Tam odsapnie. Wrzynający się w jezioro wąski pas łądu wieńczyła olcha, której przechylony pień ginął w gąszczu trzciny. Na prawo, równoległe do cypla, rozciągały się płycizny – jedno z ulubionych żerowisk wodnego ptactwa. Póki co osłonięte jeszcze mrokiem. Basior ukrył się pod olchą. Do końca nic nie zdradziło jego obecności. Zadowolony z podchodu złożył łeb na łapach i zastygł w oczekiwaniu. Szarość nocy ustępowała, a wkrótce dało się zauważyć pierwsze oznaki wczesnoporanego ożywienia. Górą śmigły jaskółki, w oczaretach coś chlupnęło. Tuż nad olchą bezszelestnie przemknął borowiec, zaś od strony lasu, nieco wyżej, pojawiła się kania. Nasłuchujący wilk wyciągnął szyję. Taplające się między graźelami dwie kaczki, zwiastuny stada, wypełniły serce samotnika nadzieją. Nie czuwał daremnie. Wystarczy jeszcze trochę poczekać. Z wolna gwar rósł. Drapieżka znów wyjrzał zza traw – mięśnie prężnych łap z ledwością wytrzymały napięcie. Aż się roilo od skrzydlatego bractwa. Niektóre kwaczące dzioby podpływały całkiem blisko.

Teraz!

Imponującym skokiem dosięgnął wytypowanej ofiary. Chwycona za szyję zwiotczała W ułamku

sekundy. Eksplozję wrzasku pierzchającego stada poniosło na przeciwny kraniec Jeziora.

(ciąg dalszy w następnym numerze)

Lech M. Jakób